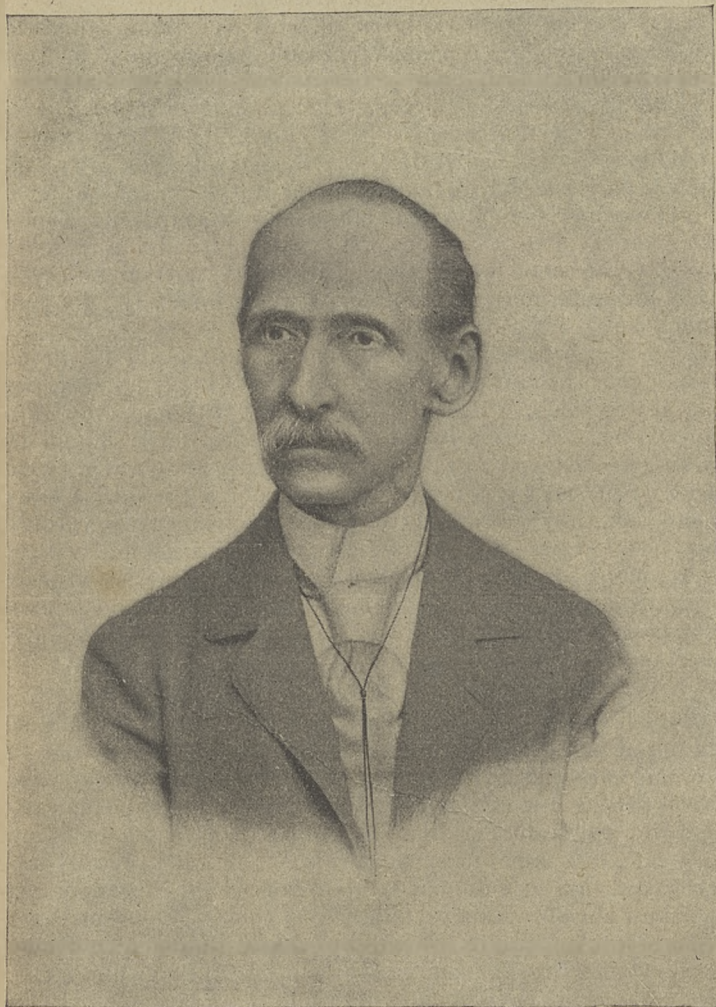




# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Antoni Pietkiewicz.

(Adam Pług).

Rok obecny nazwać można rokiem jubileuszów. Uczci-  
liśmy już wielu zasłużonych, a wielu innym należy się hołd  
i wdzięczność społeczeństwa, bo według wyrażenia poety, nie-  
śli przed niem niezmordowanie „oświaty kaganiec”. Na  
pierwszem miejscu postawić tu trzeba Antoniego Pietkiewi-  
cza, znanego pod pseudonimem Adama Pługa. Kiedy przed

pół wiekiem, młody wówczas autor wybrał sobie ten pseudo-  
nim, nakreślił w nim niejako program nieustannej, cichej,  
pożytecznej pracy i program ten spełniał niezmordowanie,  
orząc zagon literatury ojczyściej i rzucając weń zawsze zdrowe  
ziarno, bez względu na to jakie wiały wichry, jakie zmieniały  
się prądy. Pełen zapału, talentu i dobrej woli w roku 1847  
rozpoczął zawód literacki ślicznym obrazkiem „Wigilia św.  
Jana”, drukowanym w Wilnie i od tej pory nigdy nie ustawał  
w pracy. Trudno byłoby tu wyliczyć, jak wiele napisał w cią-  
gu całego pięćdziesięciolecia, obrazków, ulotnych poezyi,  
artykułów dziennikarskich, a zawsze i wszędzie podnosił swo-  
jem słowem czytelników, dzielił się z nimi szlachetnymi my-  
śłami, umacniał we wszystkim co dobre i zacne, rozumiejąc  
dobrze, iż takim być powinno zadanie talentu.

Z większych prac Adama Pługa szczególny rozgłos  
zyskały sobie z pomiędzy poezyi: „Srocзка” i kilka legend  
tehnących głęboką wiarą, jaka przepelnia serce autora.  
Wszystkie te rzeczy czytać będziecie kiedyś i z pewnością po-  
kochacie ich twórcę, jak kochają ci, co mają sposobność go  
poznać, bądź to z pism, bądź osobiście. Powstaje on we  
wszystkich swoich dziełach przeciw przesądóm, pyszałkowato-  
ści, cenieniu ludzi nie według istotnej zasługi ale wedle ma-  
jątku i stanowiska. Karcąc jednak wady rozpowszechnione  
niestety w naszym społeczeństwie, czyni to zawsze bez gory-  
czy z miłością, a nieraz z niezmiernym dowcipem.

Dał tego najlepszy dowód w „Oficyaliście”, którą to po-  
wieść można uważać za jego arcydzieło. Doczekała się też  
kilku wydań, zawsze rozchwytywanych, a gdy autor drukował  
ją w Kłosach, przybyło z jej powodu temu czasopismu parę  
tysięcy prenumeratorów.

Był to wymowny dowód uznania. To też po śmierci  
Wojcickiego, wydawca Kłosów ofiarował ich redakcyę Pługo-  
wi, który utraciwszy ukochaną żonę, przeniósł się wówczas  
z Zytomierza do Warszawy.

Od tego czasu praca dziennikarska pochłania cały czas  
utalentowanego człowieka, który poświęca jej się zupełnie,  
pojmując dobrze, że na tem polu może najskuteczniej służyć  
społeczeństwu, a to uważa jako zadanie swego życia.

Samotny, pozbawiony bliższej rodziny, pracuje nie-  
zmordowanie, poprzestaje na małym a pomimo to nie wy-  
starcza mu nigdy zarobek literacki, bo wszystko co posia-

## PANNA MARYCHNA Z OPOROWA

(Ciąg dalszy).

Ani dla nas także — dodały Antochna i Jadwichna, a cień smutku powłókł rozjaśnione ich twarzyczki.

Marychnie mimowolnie lzy się rzuciły do oczów.

— Drogie dzieci moje — rzekła, ściskając z kolei rzucające się na jej szyję siostrzyczki, nie mogę wam teraz jeszcze powiedzieć wiele, ale zdaje mi się, że Bóg nas pocieszy...

Pamiętajcie jeszcze nie wspominać o tem nikomu przez miłość dla matuchny, którą może Bóg pozwoli jeszcze zobaczyć. Trzeba się tylko modlić o to bardzo serdecznie i dobremi uczynkami zasługiwać na uproszenie tej łaski.

Opowiedzieć trudno, bo nawet i niepodobna radości dziewczątek na te słowa. Cela postanowiła zaraz najpiękniejsze kontusiki zamienić u przekupniów na proste przyodziewki, aby te rozdać następnie ubogim dzieciom.

Antochna korale, któremi się bardzo cieszyła, zamyśliła odprzedać kupcowi, a pieniądze, za nie wzięte, oddać biednej staruszce, która kram swój już miała zwinąć, nie mając za co nabyć potrzebnego jej towaru. Co zaś do Jadwichny, powiedziała, że wszystkie pierniki, jabłka i orzechy, które dostawała, oddawać odtąd będzie dzieciom ubogiej wdowy, które nigdy nie widziały podobnych łakoci. Panna Marychna radowała się temi postanowieniami swych (jak je nazywała) dzieci i pospiesznie kończyła rozpoczęty na wsi ornat, przyodzabiając szaty wyszytych na nim wzorzystym jedwabiem postaci świętych perłami, które miały bardzo piękną wodę i dostały jej się na pamiątkę po babce.

Gdy tak osieroczone dzieci w modlitwie, pracy i dobrych uczynkach rachowały niecierpliwie czas, który ubiegał, we włości wojewody, położonej pod murami Sthumu, zawrzało nowe życie. W dzień było tam cicho i spokojnie. Stoigniew tylko oprócz tego, że rad, jak zwykle, przesiadywał w swym zwierzyńcu, nosił tam jeszcze ukradkiem misy jadła i dzbany z napojem, aby je rozdać towarzyszom pancernym, którzy ukryci wśród drzew i stogów siana, drzemali po największej części przez dzień cały, aby w nocy iść stróżować na drodze, prowadzącej do Gdańska w niejakim oddaleniu od zamku, iżby napadnięci zbrojni, którzy strzedz będą branę, nie mogli ztamtąd zażądać pomocy.

Wojewoda tymczasem z synem swym Michałem przepatrywali okoliczne knieje, aby w ucieczce nocnej nie zabłąkać się wśród puszczy. Rotmistrz znaczył drzewa, zdzierając tu i owdzie korę w kształcie krzyża, wyrąbywał gałęzie, aby mieć wolne przejście w razie potrzeby na drogę, którą później podążać by mogli do Torunia. Na tych zajęciach schodziły mu dnie całe, lecz mimo to niecierpliwie oczekiwał końca wyprawy i rad był oswobodzić matkę Marychny, świadom jej smutku i starań, jakie czyniła w tym celu. Wojewodzie też pilno było ukończyć tę sprawę i powrócić do domu, gdzie go oczekiwano z utęsknieniem, ale jak na złość codzienne nocne wycieczki przez tydzień cały dotąd były nadaremne. Położenie stawało się tem przykrejszem, że z odjazdem Marychny i jej wiernej służebnicy nie było sposobu zasięgnąć wiadomości z zamku.

Pani z Oporowa tymczasem, dla której zabłysła radosna nadzieja wyzwolenia za widzeniem Zofki, pozostawszy znów samotną w swem więzieniu, w głęboki popadła smutek. Mnie-mała, że chwilowa pociecha, jakiej doznała, była snem tylko, po którym nastąpiło bolesne przebudzenie. Od dni kilku Ulrych nie ukazywał się więcej; mnie-mała, że zaniechał już zamiaru przewiezienia jej w inne strony, w którym poczerpnąć mogła niejaka otuchę, jeżeli nie pewność wybawienia ze srogiej niewoli. Ale chytry Krzyżak niełatwo odstępował od tego, co wykonać zamierzał. Zajęty tylko obecnie przy-

da, oddaje ubogim. Niema potrzeby, niema nędzy któraby się do niego udała daremnie, stara się przyjść w pomoc każdemu wynalezieniem pracy, protekcją, a w razie potrzeby pieniężnym datkiem. Nie posiada nic dla siebie, wszystko oddaje drugim, bo jest to jeden z tych rzadkich ludzi, u którego niema rozłam pomiędzy zasadami a czynem. Chrześcijanin w całym znaczeniu tego słowa, jest nim nie tylko w sercu ale w pismach i uczynkach, a wierny tym zasadom był od samego początku swego literackiego zawodu aż do dnia dzisiejszego

Skromny nad wszelki wyraz, wysuwa się wówczas tylko naprzód, gdy chodzi o dobry uczynek, o wykonanie dobrej myśli. Wówczas nie szczędzi zabiegów, starań i drogiego czasu, który przy nawale zajęć musi odkradać spoczynkowi. Unika zawsze oznak czci, jaka mu się słusznie należy. A przy każdym jubileuszu literackim zawsze pospieszał z koleżeńskim uznaniem, nie bacząc na to, że go pomijano, bo ze zwykłą skromnością usuwał się na bok. Dopiero przed dziesięciu laty, Deotyma, długoletnia jego przyjaciółka, przygotowała mu w tajemnicy na jednym ze swych czwartków jubileusz, na którym licznie zebrani wielbiciel, mogli wyrazić mu całą swą cześć i miłość.

Teraz po pięćdziesięcioletniej pracy, czynimy to samo, modląc się, aby Bóg zachował długo w czerstwości i sile tak znakomitego autora i człowieka.

### Na wakacje dla pańienek.

Przykładem lat dawnych podajemy do wiadomości naszych czytelniczek, że i w tym roku przyjmować będziemy własnoręczne ich roboty, wykonane podczas wakacji. Da nam to możność ocenienia postępów dawnych prenumeratorek i przekonania się o zdolności i umiejętności nowych.

Podczas roku szkolnego roboty ręczne z konieczności schodzić muszą na plan drugi, słuszną więc rzeczą by im podczas wakacji poświęcić godzinkę jakąś dziennie.

A pamiętajmy, że ta godzinka, poświęcona pracy, będzie miała cel podwójny, bo stanie się wypoczynkiem wśród zabaw i rozrywek ruchliwych, a jednocześnie wiele bardzo korzyści przyniesie biednym dzieciom, którym się dostanie uszyta bielizna i sukienki.

A gdybyście wiedziały, jak wielką radość sprawić można tym biedakom nową sukienką lub koszulką, to ręczę, że wasze igielki z podwójną biegąłyby szybkością, a godzina roboty byłaby jedną z najmilszych w dniu całym.

Wszelkie roboty przyjmować będziemy z równą radością, zastrzegając przytem, aby materyały były jak najprostsze — perkale i barchany. Zalecamy jednak usilnie, aby robota była staranną i wykończoną bez pomocy starszych (za wyjątkiem kroju, którego młodsze pańienki znać jeszcze nie mogą).

Najlepsze pracownice zostaną nagrodzone. Termin ostateczny do nadsyłania robót naznacza się na 30-ty wrześnie. Adresować paczki należy wprost do naszej Redakcyi, a do każdej robotki przyszyć kartkę z wypisanym *wiekiem, pseudonymem, nazwiskiem i dokładnym adresem* tej, która ją wykończyła. Prosimy o zwrócenie na to uwagi, bo nie wiedząc wieku pracownicy, roboty jej ocenić nie możemy. Prosimy więc *usilnie*, by o żadnym z wyżej wymienionych warunków czytelniczki nasze nie zapomniały.

Chociaż do współzawodnictwa dopuszczone są pańienki do lat 15-tu, jednak i starsze prosimy o udział w tym dobrym uczynku, prace ich będą uważane nie jako próby umiejętności, ale jako dar dla biednych dzieci.

gotowaniem do obrony zagrożonego oblężeniem zamku, nie miał czasu na rozmowy z nieszczęśliwą kobietą, z których zresztą wiedział, że nie odniesie żadnej korzyści dla swych zamiarów. Rachował więcej na czas i okoliczności, mogące ją zmusić do ustępstwa.

Gwalbert, który był używany przez niego najpierw, jako stróż uwieczniony, a następnie umieszczony przy jej dzieciach dla opatrywania zamiarów odwiedzających je przyjaciół, dopóki obawa, że będzie poznanym przez wojewodę nie skłoniła go do opuszczenia tego stanowiska, odebrał później rozkaz szpiegowania okolic zamku. Nie mylił się bowiem Ulrych, jak to już wiemy, w przypuszczeniu, że przychylni sierotom mogą w końcu powziąć jakieś poszlaki i starać się przyjść w pomoc uwiecznionej.

Opatrywanie widocznie jednak nie usuwała jej swej opieki, skoro nic nie wyszedł, jakkolwiek mogło mu to przyjść z łatwością, tem więcej, że wiedział o posiadłości w tych stronach wojewody. Przyczyniło się niemało do tego i to, że znał Stoigniewa, więc nie chciał mu się dać poznać i niechętnie kierował swe kroki do ustroni starego samotnika. Nie przypuszczał też, pomimo podejrzeń Ulrycha, aby odkryto spisek, tak dobrze ukartowany, i miejsce pobytu pani z Oporowa. Obecnie odebrał polecenie śledzenia przybycia w te strony wojsk królewskich i opatrywania bezpiecznej drogi do Gdańska. Tydzień już minął mu na tem zajęciu, gdy nagle jeden z rozesłanych przez niego w tę i ową stronę knechtów przybiegł zadyszany z wieścią, że wojska już wyruszyły i najdalej za dni kilka będą pod murami Sthumu.

Nie było czasu do stracenia, poszedł więc natychmiast do Ulrycha. Zastał ponurego Krzyżaka na wałach, opatrującego ich moc i bezpieczeństwo.

— Przygotowany jestem, jak widzisz, na przyjęcie nieprzyjaciół — rzekł, gdy mu oznajmił z czem przybywa — ale teraz pomyśleć mi wypada natychmiast o przewiezieniu bezpiecznym mojej branki; ufam ci, bo wiem, że nie zechcesz stracić nagrody, która cię nie minie.

— I bez tego czestny panie — odparł Gwalbert z chytym uśmiechem — wiecie, iż jestem na wasze usługi. Choć co prawda czas by mi spocząć w bezpiecznej własnej zagrodzie za tyle poniesionych trudów i narażania karku w całej tej sprawie. Bo cóż mnie czeka innego, jeżeli nie miecz katowski, gdybym wpadł w ręce wojewody, który się opiekuje sierotami z rozkazu królowej, a nietrudno by mu było odkryć wszystko.

— Wiem o tem — rzekł niecierpliwie Ulrych, to też gdy mieć będziemy w miejscu bezpiecznym panią z Oporowa, uwolnię cię od wszelkiej styczności z jej sprawą. Teraz jednak nikt prócz ciebie nie doprowadzi jej do końca. Dam ci do pomocy kilkunastu wiernych knechtów i przeprowadzisz ją bodaj dzisiejszej nocy tam, gdzie już dla niej obmyśliłem nowe więzienie. A opatrzyłeś już dobrze drogę? Zdaje się, żeś miał dość czasu po temu?

— Droga jest wskroś bezpieczna, w dzikiej dokoła puszczy niema mieszkańców, ani też napotkać można przejezdnych, niech więc wasza cześć będzie spokojną. Na bity gościniec dostaniemy się dopiero w pobliżu Gdańska. Idzie tylko o to, aby tam pani zechciała zachować się spokojnie, zwłaszcza, w razie gdybyśmy ludzi napotkali, co się wydawać może bliżej ich siedzib.

— Ha, twoja rzecz w tem, chociaż będę się starał zmusić ją do tego groźba cięższej doli.

W godzinę po tej rozmowie, gdy słońce miało się ku zachodowi, Ulrych wszedł do komnaty pani Oporowskiej i oznajmił, że ma gotować się do drogi.

— Pamiętajcie — rzekł, że od woli waszej zależy jeszcze zamiast iść do naszego więzienia powrócić do domu i dzieci waszych, oddajcie tylko rękę mojemu bratu i przekażcie mu włości wasze. Kapelan zamkowy połączy was do zgonnym ślubem, a potem wolni będziecie.

— Śmierć raczej poniosę, aniżeli zawrę nienawistne mi śluby i skrzywdzę dzieci, przekazując ich mienie obcemu — odparła spokojnie pani Oporowska.

— Więc to ostatnie wasze słowo? pamiętajcie, abyście go nie pożałowali. Oznajmiam wam przytem, że jakkolwiek nie spotkacie w drodze nikogo, co by was mógł uwolnić, bo poprowadzę was odludnym szlakiem wśród puszczy, jednakże w razie, gdybyście się chcieli pokusić o wzywianie pomocy, więzienie wasze stanie się tem sroższem...

— Nie wątpię, że nie zaniechacie wszelkich środków, mogących mnie przynębić — odparła spokojnie pani Oporowska — wiedzcie wszakże, że przy pomocy Bożej potrafię znieść i nadal katusze, których nie szcędzicie mi obecnie.

Ulrych wyszedł, zamykając drzwi z trzaskiem, a biedna kobieta, odetchnąwszy dopiero wolniej, padła na kolana i w serdecznej modlitwie poleciła Bogu dzieci swe i siebie w tem nowem przejściu, jakie ją czekało. Mimo groźnych zapowiedzi okrutnego przyślanowcy, radosna jakaś otucha napełniła jej serce i czekała spokojnie chwili zapowiedzianego wyjazdu.

Późnym już wieczorem sam Ulrych wyprowadził ją przez bramę zanikową, otuloną szarym płaszczem, z twarzą, gęstą pokrytą zasłoną. Poza murami czekał pod wodzą Gwalberta oddział. Gwalbert prowadzący konia, na którego usiadła pochwycił cugle i cały orszak ruszył, a wkrótce znikł w otaczającym lesie. Ulrych stał na wałach i patrzył w ziemię ponuro. W duszy przeklinał kobietę, której silna wola oparła się męczarniom samotnego więzienia, czerpiąc otuchę w Bogu, poczuciu obowiązku i miłości macierzyńskiej.

Noc była jasna i gwiazdzista, pani Oporowska z rozkoszą odetchnęła świeżem powietrzem, którego pozbawioną była od tak dawna. Jakkolwiek była w mocy wrogów, którzy ją otaczali dokoła, mogła przynajmniej patrzeć w niebo i czuła się niejako bliżej Boga i ukochanych swoich, spoglądając na oddalone światy, jaśniejące w przestworzu. Gwalbert rozglądał się dokoła, trzymając cugle jej konia, którego prowadził obok swego, pusto i głucho było wszędzie, wkrótce dojechali do lasu i czarna otoczyła ich puszcza. Serce pani Oporowskiej ścisnęło się znów smutnie, bo uczuła się jakoby napowrót w więzieniu. Jechali zwolna przez gąszcz leśny, wśród którego trudno już było gwiazd dopatrzeć, a świeciły jedynie oczy rysia, czepiającego się gałęzi. Gdzieniedzie odzywało się wycie wilka lub pomruk niedźwiedzia bartnika, wdzierającego się na sosnę. Pierzchliwe kuny skakały po drzewach na wyścigi z wiewiórkami, przerywając ciszę leśną szelestem gałęzi, lecz nigdzie nie napotymano śladu człowieka. Przedzierając się zwolna przez gąszcz i zawały, branka ze swym orszakiem znalazła się w parę godzin o jaką milę drogi od zamku; cicho i głucho było dokoła i opanowały ją coraz smutniejsze myśli: nadzieja ratunku znikła potrosze. W tem Gwalbert dał znak, aby się zatrzymano, i nadstawił pilnie ucha, bo zdało mu się, że dosłyszał jakiś podejrzany szelest, jakoby stąpanie ludzi i łamanie gałęzi wprost przed nimi.

— Czy słyszysz Zygrydzie — rzekł, pochylając się do jednego z towarzyszy, zdaje się, jakobyśmy spotkać tu mieli kogoś?

— Ot, zdaje wam się, puszcza pełna zwierza, ztąd i łomot gałęzi.

Zaledwie jednak zbrojny wymówił te słowa, łoskot podobny ożwał się i z przeciwnej strony. Serce pani Oporowskiej uderzyło silniej, przeżegnała się i zaczęła modlić zciacha, bo zdało jej się, że świta jej znów nadzieja ocalenia.

— Zatrzymajny się — rzekł Gwalbert — i miejcie broń w pogotowiu.

— Mówiąc to, dobył szabli i uniósł się na siodle, wsparty na strzemionach, patrząc pilnie w stronę, w której posłyszal hałas. Niedługo to trwało, bo wnet ze wszech stron wysunęli się uzbrojeni ludzie, otaczając w zwartym szeregu knechtów i ich wodza.

— Ktokolwiek jesteście, ustępujcie z drogi, jeżeli nie chcecie ściągnąć na siebie zemsty przemożnego zakonu — zawołał grzmiącym głosem Gwalbert.

— Wilhelmie — ożwał się wtedy wojewoda, który był na czele zbrojnych wraz z synem — oszczędź nam krwi rozlew i oddaj nam dobrowolnie szlachetną panią z Oporowa,

której jesteś siepaczem, a słowem szlacheckiem ręczę, że ci włos z głowy nie spadnie.

Gwalbert zadrzał, widząc się poznanym, wkrótce jednak odzyskał śmiałość.

— Nie uczynię tego, bo dosięgłaby mnie wszędzie zemsta szlachetnego rycerza, w którego służbie pozostaję. Brońcie się — dodał grzmiącym głosem, zwracając się do knechtów i sam podnosząc jedną ręką szablę, gdy drugą trzymał konia swego i swej towarzyszki.

Pani Oporowska zasłoniła twarz rękami; myśl, że zginąć może dla niej którykolwiek z jej obrońców, napełniła ją najwyższem przerażeniem i rada była prawie znieść dalszą niewolę; aniżeli narażać ich życie. Nie długo wszakże mogła być pod wpływem rozpaczliwych myśli, bo wkrótce potem pochwycić była zmuszoną cugle swego konia, które wymknęły się z rąk Gwalberta, ugodzonego szablą Michała.

Odzyskując wtedy odwagę, która ją na chwilę opuściła szarpnęła konia i w mgnieniu oka znalazła się wśród swych wybawców, którzy ją powitali radosnym okrzykiem. Stróże jej nie dali wcale za wygraną, jakkolwiek pozbawieni dowódcy niemniej przeto chcieli się zasłużyć Ulrychowi, obawiając się zresztą jego gniewu w razie porażki.

Michał pochwycił teraz konia pani Oporowskiej i zasłaniał ją swoją szablą. Wojewoda stanął przy niej z drugiej strony, a towarzysze ich rąbali knechtów.

Ci jednak zamiast iść w rozsypkę, nacierali jeszcze z wielką wściekłością.

— Michale — rzekł wtedy do syna wojewoda — ruszaj w drogę z tą szlachetną panią, a my się tu zabawimy z nimi i podążymy potem za wami.

Michał pospieszył spełnić ten rozkaz i zanim pani Oporowska miała czas się odezwać, już pociągnął jej konia w gęstwinę, poczem, dopadłszy swego, począł wraz z nią uchodzić dalej.

— Ależ wasz ojciec, panie? — rzekła, gdy wreszcie przemówić zdołała.

— Nie naraża on się na żadne niebezpieczeństwo wobec tych zbrojnych żołdaków i wkrótce z nami się połączy, gdy ich rozpedzi. Wam tylko nie należało tam dłużej pozostać, bo gdy stracą was z oczu, bójka ustanie; słyszycie, że teraz już przecie ucichła wrzawa.

Jakoż rzeczywiście w stronie, gdzie wpierv słyhać było krzyki i szczęk oręża, obecnie już zaległa cisza, i wnosić należało, że straciwszy z oczu brankę, stróże jej zaprzestali dalszej walki.

(d. c. n.)

kunstowności, prostotą i rzewnością trafiały do wszystkich serc.

Niejednego zapewne z naszych czytelników usypiała matka śliczną kołysanką: „Spij dzieciątko już, śliczne oczka zmrucz”. Nie jednemu śpiewała wesołą „Prząśniczkę”, albo też „Skargę dzwiewczęcia”. Otóż te wszystkie pieśni stworzył Stanisław Moniuszko, jeden z największych kompozytorów muzycznych naszych czasów, który 25 lat temu zmarł nagle w Warszawie dnia 4-go czerwca.

Był to człowiek pomimo wielkiego talentu i sławy jaką sobie zjednał, niezmiernie skromny — bo skromność prawie zawsze cechuje ludzi prawdziwie znakomitych, gdy tymczasem pyszałkowatość jest najczęściej udziałem tych, co nie wielkiego zdziałać nie są wstanie. Urodził się na Litwie we wsi Ubiel, należącej do jego rodziców. W muzyce i kompozycji kształcił się naprzód w Warszawie pod kierunkiem znakomitego nauczyciela Augusta Freyera, potem w Berlinie. Ożenił się i zamieszkał w Wilnie, gdzie udzielał lekcji muzyki, pracując nad operami, które zapewniły mu nieśmiertelną sławę. W r. 1858 przedstawiono poraz pierwszy w Warszawie jego Halkę.

Przedstawienie to zajęło kraj cały, bo była to pierwsza polska opera poważna i zakończyło się tryumfem kompozytora. Na dalsze przedstawienia brakło zawsze biletów, trzeba je było naprzód zamawiać, a często przepłacać trzy i cztery razy wartość istotną.

Wsławiwszy się odrazu swą Halką, Moniuszko został naprzód dyrektorem opery a później profesorem instytutu muzycznego i umarł na tem stanowisku, oplakiwany przez kraj cały z powodu wielkiego talentu a przez wszystkich którzy mieli szczęście znać go bliżej, jako człowiek pełen zacności i serca.

Oprócz Halki napisał jeszcze kilka oper granych w Warszawie: „Hrabinę”, „Flisa”, „Paryę”, „Verbum nobile”, „Jawnutę”, „Straszny dwór”, będący tak jak i Halka, jedną z oper najbardziej przez naszą publiczność lubionych.

Smutną dwudziestopięcioletnią rocznicę śmierci znakomitego kompozytora, obchodzono wykonywaniem jego utworów a wszystkie czasopisma wspomniały o stracie jaką wówczas poniosła sztuka nasza.

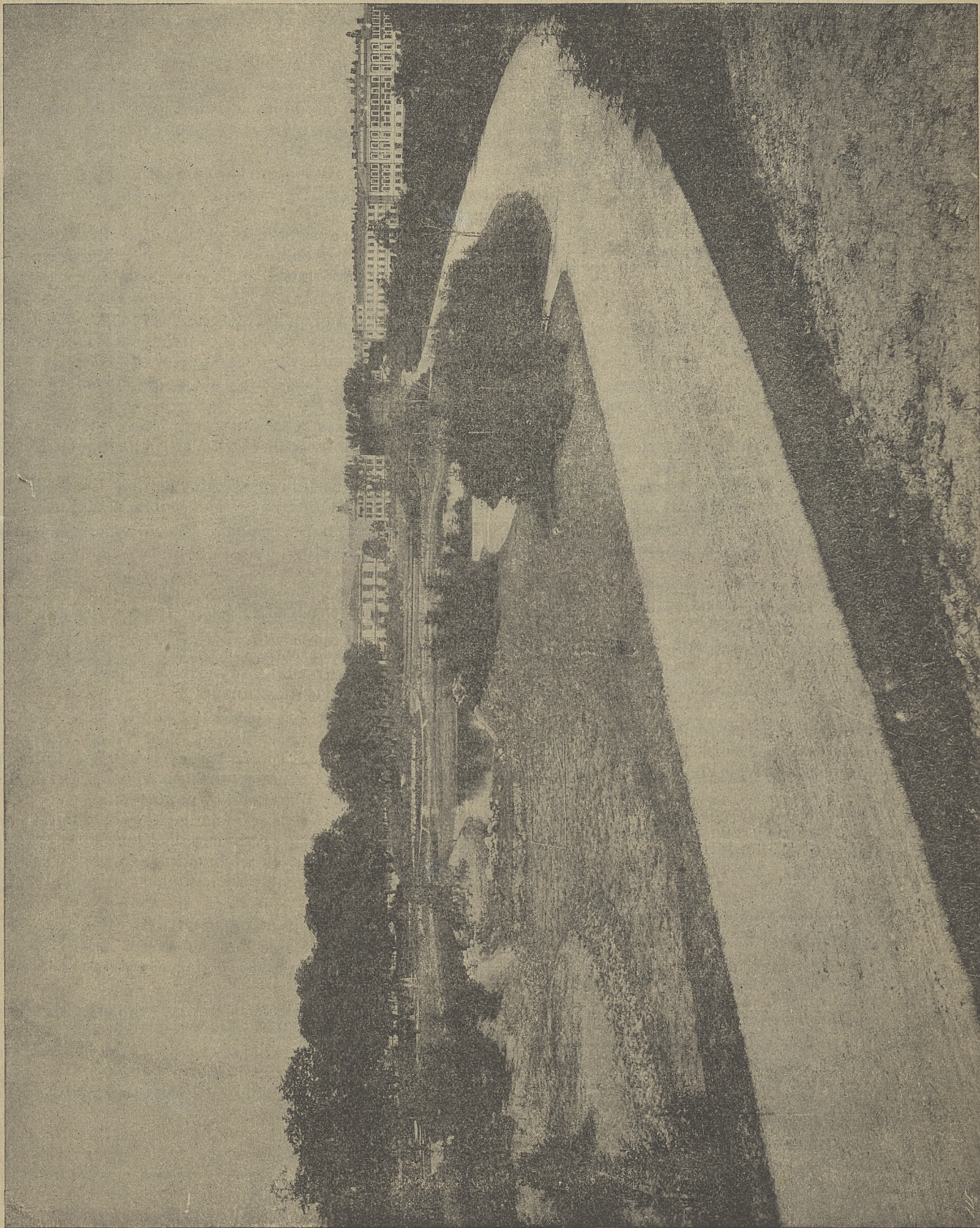


## Stanisław Moniuszko.

Nazwisko Moniuszki z pewnością nieraz obięło się o uszy każdego dziecka w naszym kraju i nieraz też każdy z czytelników „Wieczorów” słyhał śliczne pieśni jego utworu, które stały się tak popularnymi, że je powtarzają wszystkie warstwy ludności, często nie wiedząc kto był ich twórcą, bo kompozytor umiał pochwycić nuty właściwe naszemu narodowi i uczynić z nich melodye, które pomimo całej

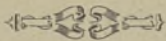
## PARK UJAZDOWSKI.

Ziemowit, książę mazowiecki, przy podziale państwa między synów oddał Warszawę najstarszemu Januszowi, który tak miejscowość tę polubił, że tu przeniósł z Czerska stolicę kraju swego, a chcąc rozszerzyć granice obranej siedziby, oddał mieszczanom między innymi wieś Jazdów, później Ujazdowem nazwaną, stanowiącą okolicę lesistą, bagnistą, pełną trzęsawisk i błota. Następcy Janusza urządzili zamek w Jazdowie, zakładali ogrody, utrzymywali w zwierzyńcu żubry,



Park Ujazdowski.

niedźwiedzie, dziki, daniela, jelenie, wilki i t. p. W następnych czasach Ujazdów ulegał różnym zmianom. W końcu ze szczątków ostatnich wzniesionych tam budowli zrobiono szpital wojskowy, na miejscu zaś placu wystawowego, założono obecnie piękny ogród, który w przyszłości stanowić będzie jedną więcej ozdobę naszego miasta, a ludzie, przechadzając się pod cieniem rozłożystych jego drzew, wspominać będą daleką przeszłość, znanego już tylko z nazwy Ujazdowa.



## SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg.)

— Takie licho — dorzucił Drap — gorsze jest od skał i raf podwodnych, bo o tych wiesz gdzie sterczą, a tamto, niech Bóg bronil!.

— Co myślisz o tem, Hurliguerly — zapytałem bosmana, który nadszedł w tej chwili i oparł się o poręcz obok mnie.

— Mojem zdaniem — rzekł tenże, popatrzwszy chwilę, podczas gdy żaglowiec zbliżył się już znacznie do zaciekawiającego wszystkich przedmiotu — mojem zdaniem — powtórzył — nie jest to ani wieloryb, ani też kadłub okrętu, lecz wielka bryła lodowca.

— Lodowca? — powtórzyłem zdziwiony.

— Hurliguerly ma słuszość — odezwał się porucznik, który z perspektywą w ręku, stał pośród nas dobrą już chwilę. Jest to bez żadnej wątpliwości lodowiec uniesiony aż tutaj silnym prądem wody.

— Czy podobna? Pod 45 równoleżnikiem, zważ poruczniku!

— Są to wypadki niezwykle zapewne, wszakże zupełnie możebne. Wiadomo nawet, że francuzki kapitan Boseville spotkał w 1828 r. olbrzymią taką bryłę aż u samego Przyłodka. \*)

— W każdym razie pod wpływem temperatury, jaką tu obecnie mamy, lodowiec musiałby stopnieć wkrótce.

— Najniezawodniej! To też bryła tamta jest bezwątpliwie drobną już tylko częścią olbrzymiej góry lodowej, której waga przełodzić musiała miliony beczek — objaśniał ku wielkiemu memu zdziwieniu zwykle milczący Jan West.

W tej chwili nadszedł kapitan i po zamianie z porucznikiem kilku słów cichym szeptem, wziął od niego perspektywę i skierował ją w stronę coraz wyraźniej rysującej się wśród fal i błyszczącej w słońcu bryły.

— Możemy sobie powinszować — rzekł niebawem — iż udało nam się szczęśliwym wypadkiem ominąć ten lodowiec. Spotkanie z nim mogłoby nasz statek przyprowadzić o znaczne uszkodzenia.

Stojąc opodal, patrzyłem uważnie na kapitana, który ani na chwilę, z widocznym natężeniem uwagi, nie odjął szkła od ocz swoich, a bledź znamionująca silne wzruszenie, pokryła chudą i ogorzałą twarz jego, podczas gdy usta bezwiednie prawie wymawiały urywane jakieś słowa.

Tak upłynęło kilka minut ogólnego oczekiwaniam. Tymczasem Halbran przez odpowiednie rozpięcie i pochylenie żagli z rozkazu porucznika, podpłynął ku lodowcowi, który topniał tak widocznie, że jasne strumienie wody spływały z powierzchni jego do morza.

\*) Przyłdkiem (Cap) nazywają przez skrócenie przyładek Dobrej Nadziei.

Kapitan Len Guy odłożył wreszcie szkła, całkiem już zbyteczne, bowiem wszyscy gołem nawet okiem zauważyliśmy przedmiot jakiś czerniący na bliskiej nam o jakie 3 sięgi bryle.

Okrzyk zdziwienia i przerażenia wyrwał się z piersi naszych, gdy w przedmiocie tym poznaliśmy najwyraźniej kształty ciała człowieka. Była nawet chwila, w której pewny byłem, że ciało to porusza się, że wyciąga ku nam ręce, jakby z prośbą o pomoc.

Ale nie, ono samo było sztywne i nieruchome, tylko powoli wraz ze spływającą wodą zsuwało się na dół.

Spojrzałem na kapitana, twarz jego była równie trupiej bledź, jak spoczywającego na lodowcu, a płynącego tu może z podbiegunowych stref...

Spełniono szybko rozkaz porucznika i do spuszczonej łodzi zeszli: bosman, Gracyan i Francis, którzy w silne dłonie ujęli wiosła.

Może jeszcze iskierka życia tli w tym człowieku, a w takim razie każda sekunda jest drogą. Jeżeli zaś martwe już tylko są te członki, może znajdzie się przy nim papier jakiś, jakie notatki dające świadectwo, kim był, skąd przybywa...

Łódź sunęła przedko. Zręcznym ruchem wiosła pełną ją bosman ostatecznie do lodowca, łamiąc kruche jego brzegi, a upatrzwszy miejsce dość jeszcze pewne, zatopił w nim hak łańcucha od łodzi, aby trzymać ją nieruchomo i wskoczył z Gracyanem na bryłę.

Chwila jeszcze, a sztywne, zmrożone członki nieznanego człowieka złożone najpierw w łodzi, przeniesione zostały na pokład okrętu.

Kapitan Len Guy przystąpił ku nim i patrzył długo, jakby spodziewał się poznać w nich dobrego znajomego...

Był to marynarz w grubym, mocno zniszczonym i połatanym ubraniu z wełny, okrywającym tak nadzwyczajnie wychudzone ciało, że raczej do szkieletu już tylko było podobne. Chociaż nie mógł być starszym nad lat 40, jednak bujne włosy, zakrywające w nieładzie część twarzy, były już prawie zupełnie siwe.

Jakie straszne cierpienia, jakie tortury głodu i zimna przeżyć on musiał, zanim wynędzniałe jego ciało przeszło w ten stan lodowatego skostnienia!

Kapitan Len Guy pochylił się nad trupem, ujął głowę jego w obie dłonie, odgarnął delikatnie, jakby z pieczołotą, starżane włosy, szukał spojżenia martwych ocz, których powieki mróz skleił, aż wreszcie głośnym wybuchnął łkaniem.

— Waterson! Waterson! — powtarzał.

— Waterson! — zawołałem mimowoli; zdawało mi się bowiem, że to nazwisko wprawdzie dość pospolite, łączyło się w mej pamięci z jakimiś dobrze mi znanymi wypadkami. Gdzie jednak słyszałem je wymawiane? A może czytałem je tylko?...

Tymczasem kapitan stojąc wsparty o poręcz pokładu, przebiegł wzrokiem dalekie linie horyzontu, jakby upatrywał jeszcze czegoś, lub pragnął podążyć natychmiast ku biegunowi.

W tej samej chwili bosman, na skinienie Jana Westa, przeszukał ubranie zmarłego, i wyjął z kieszeni, ściągniętej rzemieniem kurtki, nóż składany, zwitek grubych nici, wreszcie książeczkę skórzaną z metalowym ołówkiem. Gdy przedmioty te podawał porucznikowi, kapitan zwrócił się właśnie w tę stronę.

— Daj mi to — rzekł, ujmując książeczkę w drżące ręce.

Drobne pismo zapełniające kilka pierwszych kartek, stało się pod wpływem wilgoci zupełnie prawie nieczytelne, przy ostatniej dopiero notatce zatrzymał się kapitan dłużej, i ku naszemu najwyższemu zdziwieniu i wzruszeniu zarazem, począł czytać wolno, głosem, w którym odczułem głęboką boleść jego serca.

„Orion... wyspa Tsalal... przez ośmdziesiąty trzeci... tam od jedenastu lat... kapitan... pięciu marynarzy żyją... spieszcie im z pomocą...”

Tu znajdował się podpis z nazwiskiem Waterson.

— Waterson! tak, przypomniałem sobie! Tego imienia był drugi oficer na statku Orion, który przyjął gościnnie Pryma i Petersa, nieszczęsnych rozbitków z okrętu Grampiusa, statku Orion, który dopłynął do wyspy Tsalal i przez jej mieszkańców został złupiony i wysadzony w powietrze, podczas gdy większa część załogi zginęła w czasie trzęsienia ziemi, a ci, którzy uratowali swe życie, kryjąc się przed okrucieństwem miejscowego plemienia, pozbawieni są aż do tej pory możności powrotu.

Więc to wszystko było prawdą?... Więc Edgard Poë napisał dzieło historycznej wartości, a nie zmyśloną powieść? Więc rzeczywiście posiadał on pamiętniki Pryma, znał go i czas dłuższy utrzymywał z nim stosunki przyjaźni?... Cóż za podróż nadzwyczajna! Do jakiego punktu ziemi dotarł właściwie ten człowiek, po opuszczeniu wyspy Tsalal? Jaką drogą znalazł się znów w Ameryce? Z czyjej ręki czy woli, owa śmierć nagle i straszna, którą autor tłumaczy brak ostatnich rozdziałów, mogących dać objaśnienie tak wielkiej doniosłości?...

Myśli te opanowały w jednej chwili do tego stopnia całą istotność moją, iż sądziłem, że mię wytracą z równowagi umysłowej.

— Miej się na baczności — ostrzegłem wreszcie sam siebie, zebrawszy całą siłę woli — wszystko to jest pomyłką tylko, przesyłałeś się zapewne!...

Jan West tymczasem spokojniejszy od kapitana, zdołał wyczytać jeszcze urywki ze stronic książeczki, uszkodzonej przez wilgoć.

*„Uniesiony na lodowcu 3 czerwca w północną stronę Tsalal... Kapitan Wiliam Guy i pięciu ludzi z Orionu żyją tam. Lodowiec mój przepłynął zapórę gór lodowych. Brak mi żywności... 13 lipca spożyłem resztę zapasów... dziś 16 lipca — muszę umrzeć...”*

Urywane te zdania pisane ręką człowieka, którego martwe zwłoki leżały tuż przedemną, jako nieme, a jednak niedające się zaprzeczyć poświadczenie, musiały mię wreszcie przekonać, że opowiadane mi przez kapitana wypadki, nie były wcale chorobliwym wymysłem, że nawet nadzieja jego znalezienia przy życiu ludzi z załogi Orionu, okazała się zupełnie uzasadnioną.

— Boże mój — zawołałem — dla czegoż nie możemy przywołać do życia tego człowieka, albo raczej, dla czego to spotkanie nie nastąpiło trzy miesiące temu, gdy jeszcze płynął żywy na lodowcu! Ile cennych objaśnień, ile ważnych wskazówek mógł był nam udzielić w kwestyach, które teraz na zawsze może pozostaną nam nieznanne.

Kapitan Len Guy zwrócił na mnie wymowne swe spojrzenie, a blade usta jego wyrzekły słowa:

— Więc uwierzyłeś pan wreszcie?

— Wierzę, wierzę wszystkiemu! — zapewniłem gorąco.

— A teraz trzeba, aby wszyscy tu obecni wiedzieli również, że Wiliam Guy, kapitan Orionu, i Len Guy, kapitan Halbranu są rodzonymi braćmi — zawołał doniosłym głosem tak, aby był słyszany przez całą załogę.

Gdy w chwilę potem zwróciliśmy oczy w stronę, w której płynął lodowiec, nie znaleźliśmy już śladu z niego, tak szybko ciepło wody i słońca, znaczne już o tej porze, rozpuściło resztę bryły, na której dziwnym zaiste zbiegiem wypadków, przybyły ku nam aż z pod bieguna, zwłoki martwe i zlodowaciałe, lecz dające świadectwo o życiu innych, oczekujących pomocy od lat tak wielu.

### Wyspy Tristan d'Acunha.

Tak jest, przyznaję szczerze, mimo, że rozum mój buzył się jeszcze przeciw uznaniu za prawdziwe tego, com nie dalej jak wczoraj nazywał wybrykiem fantazyi, posuniętym aż do granic nieprawdopodobieństwa — pogrzebałem jednak w głębiach oceanu resztę mych wątpliwości wraz z ciałem nieszczęsnego Watersona, któremu tę żalobną usługę oddał

Jan West, wobec zgromadzonej na pokładzie załogi Halbrana.

Teraz też dopiero zrozumiałem, że nie chorobliwy stan umysłu, lecz serdeczna miłość braterska, kazała kapitanowi Len Guy błądzić po wodach mórz południowych, na których wytrwale spodziewał się znaleźć jakąkolwiek wskazówkę odnośnie do losu zaginionych.

I nie dziwiło mię już wcale, że niepewny, gdzie mu nieprzewidziane i nagłe wypadki każą się zwrócić, niechętnie godził się na zabranie obcego pasażera. bo gdyby nie zbyt ważne przeszkody, których w żaden sposób lekceważyć nie mógł, pewny jestem, żeby bez straty jednej chwili skierował się ku południowi. Lecz byliśmy zaledwie w pierwszym tygodniu września, a wiadano nawet już w owym czasie, że dopiero w porze od połowy lutego aż do końca marca, śmiałe próby przebycia lodowego łańcucha gór podbiegunowych mogą jedynie być uwiecznione pożądanym powodzeniem. Z łagodniejszą bowiem już wtenczas, zatem nie tyle trudną do zniesienia temperaturą, oraz mniej groźnymi burzami, wśród powstałych na wodach oceanu wolnych przejść, w skutek topniejących, a unoszonych prądem lodowców, wreszcie przy trwającej bez przerwy jasności dnia, przedstawiają się żeglarzom łatwiejsze do zwalczenia warunki.

Jedynie więc dzięki konieczności przeczekania do tej pory, podążaliśmy dalej ku wyspom Tristan d'Acunha, gdzie wedle dawnego planu pozostać zamierzałem, do chwili przybycia innego statku, któryby mię zawiózł na stały ląd Ameryki, podczas gdy Halbran po krótkim tylko spoczynku skierować się miał do Falklandu, w którego porcie w czasie kilkotygodniowego pobytu, poczyniłby mógł odpowiednie przygotowania, jakie wymagała postanowiona podróż aż po za linię koła biegunowego.

Upłynęło też zaledwie trzy doby od wypadku, który poruszył nas do głębi, gdy przednia straż oznajmiła ukazanie się w dali wysokiego wulkanu wyspy Tristan, o której mi bosman nie omieszkiał udzielić wiadomości, jakich tylko osobiste poznanie miejsca dać może. Wiedziałem więc, że klimat wyspy jest łagodny, wilgotny i mglisty; temperatura nie spada tu nigdy niżej 4° i nie podnosi się nad 20° Celsyusza, zaś stale wiejące prądy wiatru, są północno-zachodnie, a tylko zimną przez sierpień i wrzesień południowe.

W 1811 r. wyspa została po raz pierwszy zamieszkaną przez amerykańskich rybaków, przynęconych bogatym połowem fok i wielorybów; następnie przybyli tu żołnierze angielscy, obowiązani czuwać nad więźniem z wyspy św. Heleny i opuścili tę ziemię dopiero w 1821 r., to jest po śmierci Napoleona.

W dwadzieścia lat później ludność miejscowa dość już liczna, a składająca się z Europejczyków, Amerykanów i Holendrów przybyłych z Przylądka, utworzyła republikę z patryarchą na czele, która to dostojność przyznawaną była, przez dłuższy przeciąg czasu, ojcu posiadającemu najliczniejszą rodzinę.

Uznanie przez kolonistów obecnego zwierzchnictwa Angli nastąpiło dopiero po roku 1839, w którym właśnie po raz pierwszy miałem zwiedzić te ziemie i przekonać się, że nie przedstawiały one bynajmniej zbyt łakomego kąska, jakkolwiek jeszcze w XVII wieku „ziemią życia” nazwane zostały.

Flora miejscowa bardzo jest skąpa, ogranicza się bowiem jedynie na różnych gatunkach mechów, wikłaków i porostów, pokrywających spadziste górskie, u których podnóża rozkładają się liściaste paprocie, oraz drobne i większe krzewy. Jedynе drzewo jakie wyspa posiada, jest sakłak, dorastający najwyżej 20 stóp wysokości. Z warzywa uprawiane bywają dowiezione tu przez kolonistów: kartofle, kapusta, buraki, marchew, cebula i dynie; z owoców: gruszki, brzoskwinie i wino, dość miernej zresztą wartości.

Brak na miejscu drzewa opałowego wynagradza fala, wyrzucająca często na niskie brzegi szczątki rozbitych okrętów.

Amator ptactwa zmuszonym byłby zadowolnić się tu jedynie: mewą, petrelem, pingwinem i albatrosem, gdyż ornitologia wyspy nie posiada innych nad te okazów, prócz domowego drobiu. Świat zaś czworonogi przedstawiają woły, owce, i trzoda chlewna, stanowiąca całe bogactwo mieszkańców. W zamian jednak nie spotkałem na Tristan ani jednego płazu lub gadu, ani jeden owad nie naprzykrzy się tam ludziom.

Dnia 6 września, Halbran omijając daleko w morze rozgałęzione sploty roślin wodnych, które niby zdradliwie zastawione sieci, tamowały przystęp do brzegów, zarzucił kotwicę w zatoce Falmouth. — Czyli u największej z grupy wysp Tristan d'Acunha do której należą jeszcze: Inaccessible i Nitingale.

(d. c. n.)

## Z DALSZEGO ŚWIATA.

Echa jubileuszu królowej. — Pomnik Chopina w Reinerz.

Pisma angielskie zapełniają obecnie swe szpalty dalszemi szczegółami ze wspomnionego przez nas poprzednio jubileuszu królowej. Odebrała ona pomiędzy innymi adres kobiet zjednoczonego królestwa i kolonii, zawierającej 26,114 podpisów, są w nim nazwiska wszystkich kobiet, które odznaczyły się w literaturze, sztuce, nauce, na polu działalności religijnej i w życiu publicznym. Dwór królowej ofiarował jej jako podarek jubileuszowy broszę z brylantów z perłami. Od krewnych z domu hanowerskiego otrzymała egzemplarz własnej biografii, wydrukowany na papierze indyjskim i oprawny w okładkę z matowego złota. Córki, wnuczki i synowe ofiarowały broszę, złożoną z jednego wielkiego dyamentu, otoczonego mniejszemi, a zięciowie, sznur dyamentów, z koroną cesarską w środku, na której wyryta jest data: 1837—1897. Królowa jechała na nabożeństwa jubileuszowe w wielkim otwartym powozie, używanym dawniej do większych uroczystości. Malarze odnowili go na zewnątrz, szmuklerze zaś wewnątrz, położyli na nowo latarnie, a koła obciągnięto gumą. Zaprzęgnięto do niego ośm koni maści izabelowatej, bez żadnej plamki, mających grzywy i ogony z odcieniem złotawym, pochodzących ze słynnej rasy hanowerskiej. Dobranie i wyhodowanie takich ośmiu egzemplarzy, nie jest by najmniej łatwem i wymaga zachodu; w bogatej nie słychanie, ciężkiej uprzęży z ponsowego safianu i bronzu, wyglądały one wspaniale. Dwukrotnie przed datą jubileuszu zaprzężono te konie do powozu dla próby, a w ostatnich dniach przed procesją, przyzwyczajano je do wszystkich hałasów, na jakie miały być wystawione w czasie pochodu. Co chwila do stajni ich wpadali chłopcy stajenni, krzycząc w niebogłose i szczekając bronią, a orkiestry wojskowe przygrywały hymn narodowy angielski: „Boże zachowaj królowę.” Teatr w Covent Garden na przedstawienie galowe przemieniony został we wspaniałą pałac kwiatów. Użyto w tym celu przeszło 100,000 róż, które sprowadzono umyślnemi pociągami i 10,000 storczyków. W przedstawieniu obok innych słynnych europejskich artystów, brali udział obaj Reszkowie. Łoże tonęły

w powodzi kwiatów. By mieć łożę dość obszerną na pomieszczenie wszystkich gości królowej, dziesięć łoż połączono w jedną i przystrojono przesłicznemi draperjami z białemi różami. Słynny sędziwy angielski mąż stanu Gladstone, obchodził jubileusz swojej monarchini w posiadłości swej wiejskiej, gdzie przyjmował w otoczeniu rodziny, na tarasie zamkowym 1,200 dzieci ze szkół i wygłosił przemowę, w której wyraził nadzieję, że wszystkie te dzieci, zachowają przez całe życie wspomnienie tego dnia pamiętnego, w którym uczczono najdłuższe i najszczęśliwsze może w dziejach Anglii panowanie. Poczem każde z dzieci otrzymało z rąk jego medal pamiątkowy na cześć jubileuszu. Panowanie królowej Wiktorii zaznaczyło się rzeczywiście pomyślnością w dziejach Anglii. Gdy wstąpiła na tron cała Wielka Brytania posiadała nieco więcej niż trzy miliony mil kwadratowych, obecnie posiada ośm milionów, a Australia, licząca wtedy zaledwie kilkaset osad, dziś składa się z państw kwitnących i ma stolicę, przypominającą najpiękniejsze miasta w Europie.

W Ameryce, w Azji, w Afryce powstały z krwi angielskiej niejako nowe narody, dumne ze swej starej ojczyzny Anglii. W samej Anglii w 1837 r. było zaledwie kilka kilometrów dróg żelaznych, w 1897 r. jest około 35,000 kilometrów dla ludności, która z 25 wzrosła do 40 milionów.

W r. 1826 Fryderyk Chopin, w ośmnastym roku życia przybył wraz z matką i starszą siostrą do wód Szląskich w Reinerz. Zdarzyło się tam wówczas, że dwie ubogie panienki straciły matkę staruszkę, a nie miały funduszu na pogrzeb i powrót do domu. Dowiedział się o tem Chopin i pomódz im postanowił. Urządził zatem koncert na rzecz sierot, na którym sam wystąpił po raz pierwszy publicznie. Koncert dostarczył funduszu sierotom, zaś Chopinowi zjednał olbrzymie powodzenie, które odtąd stale mu towarzyszyło. Na pamiątkę tego pierwszego koncertu wielkiego artysty, w sali kurhauzu w Reinerz, zamienionego później na teatr, umieszczono tablicę z napisem: „W tej sali Fryderyk Chopin w d. 16 sierpnia r. 1826 dawał swój pierwszy koncert publiczny na rzecz dwóch sierot”. Obecnie z inicjatywy p. Magnusa Polaka, zamieszkałego w Warszawie, koncert ów upamiętniono także pomnikiem Chopina, który stanął w pobliżu teatru. Pomnik zdobi medalion brązowy, dzieło rzeźbiarza Romana Lewandowskiego. Pod medalem znajduje się łaciński napis:

Frederico Chopino

Reinercii a MDCCCXXVI arte suavissima humanitate exima; generosum virtutis in dolem ineunte adolescentia testifata hoc monumentum a MDCCCXCVII ad rei memoriam sempiternam decurienum permissu impensa sua Polono Polonus erexit.

Napis ten znaczy mniej więcej:

Fryderykowi Chopinowi, który w Reinerz w r. 1826 przez najrozkoszniejszą sztukę i wysokie miłosierdzie zaznaczył na wstępie młodości szlachetne swe serce, pomnik ten w r. 1827 na wieczną rzeczy pamiątkę własnym kosztem Polakowi Polak postawił.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Antoni Pietkiewicz (Adam Plug) (z portretem). — Na wakacye dla panienek. — Panna Marychna z Oporowa przez A. z Ch. Borkowską. — Stanisław Moniuszko. — Park Ujazdowski (z ryc.) Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Z dalszego świata. Dodatek: Trzy małe myszki, wiersz (z ryc.) — Pogadanka z wujem. — Dusia. — Wieszcza bzu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.



# WIECZORY RODZINNE

## NA POMNIK MICKIEWICZA

do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych nadesłali:

Stasia Waroczewska kop. 50. — Władzio Waroczewski kop. 50. — Marynia Niedźwiecka kop. 50. — Marya Chrucka z Kazania kop. 75. — Stanisław Chmielowski kop. 50. — Wanda Chmielowska kop. 30. — Helenka i Maniusia Wrońskie rs. 1. — Antonina Sech i Antosia młodsza kop. 12<sup>1</sup>/<sub>2</sub>. Poprzednio złożono rs. 22 kop. 40. — Razem rs. 26 kop. 57.

## TRZY MAŁE MYSZKI.

Była raz sobie pewna mama myszka,  
Co troje dzieci miała,  
I jako zwykle wszystkie mamy w świecie,  
Serdecznie je kochała.

Lecz gdy na spacer wychodziła z niemi,  
To kłopot był niemały,  
Bo zaraz wszystkie w inne biegły strony,  
I mamy nie słuchały.

Napróżno mama i prosi i łaje,  
Wreszcie na pomysł wpada:  
Wiąże im razem wszystkie trzy ogonki —  
Jest na swawolę rada!

Wyszła na spacer — toż dopiero dziwo!  
Sąsiad sąsiadkę woła,  
Jeden drugiemu wskazuje, a prawi,  
Śmiech słycać dookoła.

A myszki próżno chciałyby swawolić  
I broić po dawnemu:  
Ledwo podskoczą, z piskiem się cofają,  
Oj! bieda upartemu!

Wtem — chyłkiem, milczkiem podsuwa się z boku  
Pan Maciuś, koczur stary.  
Wróg to straszliwy mysiego plemienia  
I tępi je bez miary.

Gdy go ujrzały biedne, małe myszki,  
Skoczyły przerażone;  
Każda chce biec, uciekać co siły,  
Lecz każda w inną stronę.

A Maciuś czasu napróżno nie traci,  
Wysuwa ostre szpony,  
I z biednych myszek wnet zostały tylko  
Związane trzy ogony!



I oto Maciuś po smacznym obiedzie  
W miłym spoczynku tonie,  
A mama myszka płacze w swojej norze  
Po strasznym dzieciek zgonie.

J....a.

## POGADANKA Z WUJEM.

(Dokończenie).

— Wszystkie brodzące ptaki szukają na ostrą u nas zimową porę łagodniejszego klimatu, wszystkie lecą na południe, gdzie wieczna panuje wiosna.

— Bo one boją się pewnie, żeby im te długie nogi nie zmarzły, prawda, wujku?

— Zapewne, że mrozy dokuczyłyby im więcej, niż innym, o krótszych nogach ptakom, ważniejsza jednak przyczyna zmusza ich do tej corocznej, utrudniającej podróży. Zastanów się tylko trochę, a pewny jestem, że sam ją zrozumiesz.

— Wiem już, wiem — zawołał po chwili chłopiec — toć przecie jak u nas woda i ziemia zamarznie, a śnieg wszystko pokryje, to niema ani żab, ani ślimaków, i bociany umarłyby z głodu. Ale one daleko od nas lecieć muszą, zanim znajdą kraje ciepłe.

— Nawet bardzo daleko, bo aż za morze Śródziemne do innej części świata, Afryką zwanej, gdzie nad brzegiem rzeki Nilu zbiera się przeróżnego wędrownego ptactwa t. j. takiego, które na zimę zmienia miejsce pobytu, ilość okiem nieprzejrzana, bodaj nieprzeliczona. Podróżni mówią, że o czemś podobnem nie można nigdy mieć nawet pojęcia, jeśli się naocznie temu nie przyjrzało.

— A czy budują sobie one tam gniazda i mają pisklęta?

— Przeciwnie, wszystkie ptaki, należące do wędrownych, opuszczając północne strony, nie łączą się w pary,

nie tworzą rodziny, lecz żyją gromadnie, czekając z utęsknieniem chwili, w której mogą znów powrócić do ojczyrstych swych siedzib.

— Zkąd jednak one wiedzą, że u nas znów wiosna i ciepło?

— Widzisz, moje dziecko, dobry Bóg i najmniejszemu stworzeniu, które jest dziełem Jego, rozdzielił dary swe w takiej mierze, jakiej mu właśnie w sposobie życia jego potrzeba. Wędrownie więc ptaki instynktem przeczuwają, kiedy już nas opuścić trzeba, i ten sam instynkt wiedzie ich znów do nas z powrotem.

— Ale ciocia mi mówiła, że chcąc podróżować, trzeba nauczyć się geografii, trzeba wiedzieć, gdzie jakie znajdują się kraje, gdzie góry, rzeki i miasta, a jak o tem wszystkim wiedzą ptaki?

— Człowiek wiadomości tych nauką zdobywać musi, ptaka prowadzi znówu tenże sam instynkt. I pomyśl tylko, że są takie gatunki, które zawsze jednemi szlakami czyli powietrznymi drogami lecą i nie zabłądzą nigdy, choć tam nie mają żadnych wytkniętych ścieżek, żadnych wskazówek, jak my tu na ziemi. Co więcej, rozumieją one dobrze, że pojedynczo lub rodzinami tylko niebezpiecznie byłoby puszczać się w tak odległą podróż, zbierają się więc gromadnie i ciągną w pewnym zazwyczaj porządku.

Zdawałoby się nawet, że pierwiej porozumiewają się między sobą, że naradzają nad czasem i warunkami tej podróży. Już w miesiącu sierpniu, kiedy młode dorosną, dążą bociany do życia towarzyskiego, czego dotąd starannie unikały. Do małych z początku gromadek przyłączają się coraz liczniejsze stada, aż w końcu wszystkie bociany z najdalszych nawet okolic zlatują się na takie walne zebranie na jednej łące. U ludu panuje nawet przekonanie, że na tych zgromadzeniach, odbywa się przegląd i badanie zdolności każdego pojedynczego ptaka do odbycia dalekiej zamorskiej podróży, że nawet słabych lub nieudolnych do wytrwałego lotu, bezlitośnie na miejscu zabijają.

— Czy to możebne, wujaszku — zawołał Władzio z najwyższym zdumieniem.

— Ile jest właściwie prawdy w tych „bocianich sądach” trudno mi powiedzieć, to jednak pewną jest rzeczą, że po takim walnem zebraniu wszystkie wracają jeszcze do gniazd swoich, aż wreszcie pewnego ranka zlatują się znówu, wzbijają wysoko w powietrze, krążą jakiś czas, jakby chciały rodzinne błonia pożegnać, i znikają wszystkie razem, jak razem na wiosnę przyleciały.

— Toż one mądre! doprawdy, aż uwierzyć trudno! Ale niechno wujek spojrzy, pewnie ten z łąki leci teraz! O, o!... trzyma coś w dziobie, widzi wujek, coś długiego...

— Niesie zapewne węża lub źmijkę dzieciom swoim na kolację.

— Ach, to nasz, to z naszej stodoły! Prosto zmierzają w tę stronę. Już stanął przy gnieździe i w każdy otwarty dziób małego bocianka wkłada po kawałku pożywienia. Ale tam dalej na dachu stoi dwóch innych jeszcze...

— Ten mniejszy, szarawy, to też jeden z młodych, którego matka uczy chodzić i poruszać skrzydłami czyli latać.

— Czy wujaszek żartuje?

— Bynajmniej, przypatrz się sam!

— Ależ to zabawne — wołał Władzio, klaszcząc w ręce. — Co stary robi, młody zaraz naśladuje! To jednem, to drugim macha skrzydłem, jakby go przedrzeźniał! Dla czego jednak one odrazu nie fruują, tak jak pływa mała kaczką, lub chodzi kurczątko?

— Bo widocznie fruwanie jest większą od pływania sztuką, szczególnie dla tak dużego i stosunkowo ciężkiego ptaka, któremu nawet trudno z początku utrzymać się na jego długich, cieniutkich nogach. Pojmuję to, jak widzisz, troskliwi rodzice, skoro nietylko żywią, lecz i wychowują swoje dzieci, aby sobie później same radę dać mogły.

— Doprawdy, wujku, sam już teraz nie wiem, czy mam bociana lubić czy nie, bo choć żarłoczny jest i okrutny, ale taki zmyslny, taki nam nie obcy.

— Zostawiam ci pod tym względem zupełną swobodę, co do mnie jednak, idąc za przykładem dziadów i pradiadów moich, zawsze z przyjemnością patrzeć będę na to gniazdo na stodole i na miłych mi zawsze jego mieszkańców.

## DOSIA.

(Dalszy ciąg).

— Co to być może? — pytała, dotykając drobną rączką rurki dużych rozmiarów rewolweru. Ów człowiek bowiem, który krył się w zaroślach przed ludźmi, był tym samym, który zjawił się poprzedniego wieczoru przed panią O. Nie chciał powracać do domu, gdzie go czekały głodne dzieci, nie pomściwszy się nad tym, który ich jego zdaniem gnębił.

Tworzyło to niezwykle obrazek: drobna, delikatna dziecina z różową buzią i oczkami, świecącemi wesołością, pochylona nad nieszczęśliwym nędzarzem. Naraz twarzyczka dziewczynki zajaśniała radością; przypomniała sobie mleko i chleb z konfiturami, zostawione w ogrodzie.

— Może on ma także w domu małą córeczkę, której głód dokucza? Obudzę go i zapytam — myślała i, słuchając pierwszego popędu serca, pociągnęła śpiącego drobną rączką za kołnierz, wołając:

— Obudź się pan, obudź, proszę.

Słyszając ten słodki głos tuż nad uchem, człowiek zerwał się na równe nogi, zdziwiony widokiem ślicznego, stojącego przed nim dziecka.

— Kto jesteś? jak się nazywasz? — zawołał.

— Nazywam się Dosia — cofając się, odparła dziewczynka, onieśmielona surowym głosem nieznanego; dotąd przemawiano do niej zawsze tylko łagodnie i pieszczotliwie. Po chwili jednak ciągnęła dalej: — Jestem córeczką tatusia i mamusi. Przepraszam, że pana obudziłam, ale myślałam, że pan głodny, a ja śniadanie, co dostałam od Brygidy, położyłam na ławce w ogrodzie, schowałam je dla biednych dzieci, które nie mają co jeść. Mogę im dać jeszcze siedm srebrnych piąteczek, jakie mam w skarbonce.

Zatrzymała się i spojrzała na nieznanego, jakby czekała odpowiedzi, ale on pogrążony był w głębokiej

zadumie. Tu przed sobą miał istotę, którą chciał uprowadzić... Nadarzała się dobra ku temu sposobność. Dziecko jest najdroższym skarbem naszego ciemiezcy — myślał — strata jego będzie najcięższą dla niego... nikt mi obecnie na przeszkodzie nie stoi...

Bieg tych złowrogich myśli przerwała Dosia zapytaniem:

— Czy lubisz pan chleb z konfiturami? zaraz ci go przyniosę, leży niedaleko na ławeczce, poczekaj chwilkę.

— Nie rozumiem, co mówisz, mała — odparł robotnik — nie jadłem nigdy chleba z konfiturami, ale jestem głodny, od dwudziestu czterech godzin nic nie miałem w ustach, zjem, co mi dać zechcesz. A w duchu myślał: Nic to nie szkodzi, że mi posiłek jaki przyniesie, nie ucieknę, bo ją będę miał ciągle na oku. Dodał więc głośno:

— Idź, idź, moje dziecko.

— Zobaczysz pan, jak ci będzie smakował! — dowodziła ze słodkim uśmiechem dziewczynka, po chwili jednak dorzuciła z pewnem zakłopotaniem: Tylko ja przepraszam pana bardzo, bo odgryzłam kawałek tego chleba, tak lubię konfitury!

Mimo dokuczającego głodu i niepokoju, zakłócającego mu sumienie, człowiek ten czuł się wzruszonym łagodnym dźwiękiem głosu i pełnym dobroci wyrazem twarzy dziecka. Surowość ustąpiła z jego oblicza, niemal życzliwie odezwał się do niej:

— Nie gniewam się, moja mała, że mi dasz nadgryziony kawałek chleba. Idź i wracaj prędko, tylko pamiętaj — dodał, ujmując drobną jej rączkę w szorstką dłoń swoją — nie mów nikomu o naszym spotkaniu.

— Czy nawet i mamie?

— Nie, i mamie nie można nic o tem wspominać, zanim wrócisz tu z chlebem.

— Dobrze, dobrze! — zawołało dziecko i biedz zaczęło tak prędko, o ile drobne jego nóżki nadążyć mogły.

(d. c. n.)

## WIESZCZKA BZU.

(Dalszy ciąg).

— Macierzanko! Firletko! Ostrożko! Co znaczy ta wrzawa?

Nikt się nie zjawił i nikt nie odpowiedział. Szkarłatka zawołała jeszcze głośniejszą, i nie odbierając znowu odpowiedzi i słysząc wzrastający hałas, pobiegła do drugiej komnaty. Wreszcie na wpeł żywa ze strachu natknęła się na Przyłasczkę, która biegła do niej.

— Powiedz mi, co się tutaj dzieje, gdzie jest służba?

— Wszyscy się rozbiegli, księżno, w całym ogrodzie bunt, zwierzęta zebrały się i wołają, że się chcą pomścić za ucisk i gwałty, których doznawały pod twojem panowaniem. Zbiegły się i inne z pobliskiego lasu i okolicy, otaczają namiot.

— A cóż się ze mną stanie! — wykrzyknęła przerażona Szkarłatka.

— Trzeba uciekać, niema innej rady. Najbliżej jest lasek Niezabudek. Tam księżno byłabyś bezpieczna.

Drogi wszystkie zajęte, ale blisko ztąd jest mój dobry znajomy, stary kret. Ten nas wyprowadzi podziemnym korytarzem.

Szkarłatka drżąca poszła za Przyłasczką, jedyną z panien dworskich, która przy niej została i to nie z wdzięczności za miłe obejście, ale raczej przez wrodzoną dobroć.

Pod osłoną ciemnej nocy Przyłasczka doprowadziła biedną Szkarłatkę do kretowiska. Wrzawa wzrastała, Szkarłatka, zmoczona deszczem, upokorzona, splakana i przygnębiona, znalazła się wobec starego kreta. Sędziwy ten emeryt nie wychodził już wcale ze swej kryjówki, ale od towarzyszy miał sprawozdanie o nowem panowaniu.

— Kto idzie? — ozwał się nagle mrukliwy jego głos.

Przyłasczka opowiedziała mu rzecz całą, prosząc o pomoc.

Staruszek wysłuchał uważnie.

— Hm — rzekł — dziwy, dziwy! Nie było karniejszych i posłuszniejszych stworzeń jak poddani Wieszczy. Musiałś, moja pani, przebrać miary. Powiedz-że mi prawdę, pociś się tu osiedliła?

Szkarłatka płacząc wyjawiała mu wszystko.

Aha — rzekł — nieraz słyszałem, że tak bywa na świecie. Porywanie się na nieswoje rzeczy, nie słuchanie rad doświadczeńszych od siebie, wysokie pojęcie o swoim rozumie, lekkomyślne zobowiązanie, myśląc tylko o przyjemnościach a nie o odpowiedzialności. I z tego wypływa wiele nieszczęść, wiele szkód, wiele kłopotów. Jest niemało dziwów na świecie, ale żeby ktoś był mądry bez nauki i umiał zrobić dobrze to, czego nigdy nie robił, to się nie zdarza. Wiesz o tem już teraz, moja panienko, z własnego doświadczenia. Niech ci ono zostanie na całe życie, bo tylko skromna i wytrwała praca może przynieść prawdziwą korzyść.

Szkarłatka zalała się łzami, nietylko ze wstydu nad doznaniem upokorzeniem, ale i z żalu nad smutnemi skutkami swojej nierozwagi.

— Chodź — szepnął kret — wyprowadzę cię drogami podziemnymi aż do lasku Niezabudek.

V.

### Powrót Wieszczyki.

Szafirka zdziwiła się i przestraszyła bardzo, kiedy, zbudzona przez Niezabudki, poznała w przemokłej i zgnębionej dziewczynce, którą jej przyprowadziły, dumną księżną Szkarłatkę. Nie pomna dawnego przyjęcia, rzuciła się do niej z otwartemi rękami. Dobroć jej wzruszyła Szkarłatkę.

— Jakaś ty szlachetna — rzekła — i jak zarozumiałą i złą byłam. Spotyka mnie słuszna kara, ach, czemuż nie poszłam za twoją radą!

Ptaki zaczynały już świegotać o zaszytych wypadkach, Szafirka dowiedziała się z żalem, że się smutne jej przecucia sprawdziły.

— Najwięcej zawziętą jest na mnie sikora, której dzierzba porwała pisklęta — mówiła skruszona dziewczynka — to nieszczęście sprowadziła moja duma.

— Ach — zawołała Szafirka — wracając od ciebie, odpędziłam tego szkaradnego ptaka i zdjęłam z tarniny

pisklę, którym się starannie opiekuję. Pewnie to właśnie pisklę tej biednej sikorki.

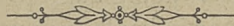
— Wieszczka nie tak prędko wróci — rzekła Złoto-włosa — a przecież jej posiadłość nie może zostać bez zarządu.

Szkarłatka ciężko westchnęła. Nikt ją do powrotu nie namawiał i czuła się do głębi upokorzoną zakończeniem swego panowania.

— Czyby która z was nie mogła jej zastąpić? — zapytała Szafirka.

— O nie — odpowiedziała Modrooka — my się znamy każda tylko na swoim wydziale, a przecież wszystkie sześć udać się tam nie możemy.

(d. n.)



### ARYTMOGRYF.

ułożyli Stefan St. i Józef Sz.

- 1) 5, 16, 21, 16, 5. Miasto w Macedonii.
- 2) 6, 7, 21, 16, 12, 6. Miasto we Włoszech połud. nad [zał. tej nazwy].
- 3) 7, 3, 23, 21. Rzeka w Chinach.
- 4) 12, 19, 7, 15, 7, 21, 7. Wodospad w Ameryce.
- 5) 19, 21, 19, 5. Grecka bogini tęczy.
- 6) 5, 23, 16, 13. Kanał, łączący Azyę z Afryką.
- 7) 8, 10, 1, 19, 7, 12. Roślina z rodz. złożonych, pospolita u nas.
- 8) 7, 21, 21, 23, 13, 13, 25. Kraina górzysta w królestwie [Neapolitańskim].
- 9) 4, 10, 9, 10, 5, 1, 7, 9. Spadek wody z pewnej wysokości.
- 10) 3, 19, 16, 2, 13, 25, 5, 8, 7, 4. Imię mężkie.
- 11) 10, 17, 19, 10. Dopływ rzeki Missisipi.
- 12) 12, 7, 3, 23, 21. Miasto w Belgii.
- 13) 19, 5, 10, 14, 7, 12, 19. Dowódca i generał Kroatów [w 30-letniej wojnie].
- 14) 23, 14, 21, 25, 2, 17. Imię mistrzów krzyżackich.
- 15) 5, 7, 11, 3, 7. Jezioro w Finlandyi.
- 16) 13, 8, 10, 6, 10, 1, 10, 14. Miasto w gub. Kijowskiej.
- 17) 20, 21, 23, 20. Ptak z rodziny wróblowatych.
- 18) 10, 5, 6, 21, 25, 15, 7. Mięczak jadalny.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery wyszukanych wyrazów złożyły imię i nazwisko słynnego muzyka i kompozytora pols., a ostatnie, dwa jego utwory złączone spójnikiem.

### LAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

ułożyła Lilijka.

B.r.k. t. .kr.c..  
 L.s. t. p.sz.c..  
 D.k.t t. m. kw.t.k  
 M..d.k t. n.p.t.k  
 B.g.s t. p.tr.w.  
 K.l.g t. z.b.w.

Czyli mnie wprost, czyli wspaniale czytacie,  
 Przyimek czasu zawsze otrzymacie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

Szarady: An — na.

#### Lamigłówniki w kwadracie:

B a ż a n t  
 D e l f i n  
 B o r s u k  
 K r ó l i k  
 S ł o w i k  
 B o c i a n

Rebusiku: Wielkich ludzi sławią narody.

### Skrzynka do listów.

*Jakóbowi Z.* Przesłane lamigłówniki postaramy się pomieścić w *Wieczorach*, bo zdaje się, że odpowiednie będą do druku. Rozwiązanie dobre.

By nagrodzić *Szczerbulce*, że nie ma skrzydełek i przyfrunąć do nas nie może, natychmiast po otrzymaniu jej liściku wysłaliśmy nagrodę pod wskazanym adresem. Dotychczas musiałaś ją już dostać i ciekawość twoja została zaspokojoną, ale donieś nam po przeczytaniu czy ci się książeczka podobała?

Przesłane od *J. Kop.* rs. 3 dla najbiedniejszych otrzymaliśmy i oddaliśmy według życzenia ofiarodawcy.

Dobre rozwiązania szarad, lamigłówników i rebusiku nadesłali: *Goreczyca, Wesola dziewczynka, Zosia T., Józio B., Irenka i Marynia L., Kary koń i Góral tatrzański.*

Otrzymaliśmy do pomieszczenia w *Wieczorach* lamigłówniki od *Azalei, Złotej rybki, Romana U., Maryjana K. i Jerzego H.*

Rozwiązanie lamigłówników dobre i chętnie zaliczę „Tygrysa zębatego” do grona moich korespondentów, proszę wszakże bardzo, aby ze względu na własną korzyść starał się pisać poprawniej tak pod względem kaligrafii jak i ortografii, gdyż jedno i drugie pozostawiają wiele do życzenia. O porządne pismo każdy starać się powinien, bo daje ono pewne wyobrażenie o osobie piszącego.

Bardzo miło mi będzie zawiązać z tobą znajomość *Złota rybko* i na przyszłość proszę cię serdecznie o częste i długie liściki, na które z przyjemnością odpisywać będę. Żałuję tylko niezmiernie, że nie mogłam zadość uczynić twej prośbie, ale list twój otrzymałam za późno, by nań odpowiedzieć w czerwcowym numerze *Wieczorów*, jak sobie tego życzyłaś. Lamigłównikę złożyłam w Redakcyi.

Wierszyk twój 8-letnia *Malinka* wcale jest niezły, mnie się podobał i schowałam go sobie jako pamiątkę od mojej malej przyjaciółeczki, ale drukować Redakcyja go nie może, bo nie pomieszcza nigdy utworów małoletnich czytelników, które zazwyczaj nie nadają się do druku. Dużo się trzeba uczyć i dużo pracować by samej pisać. Życzę ci wesolej zabawy na wsi i proszę, byś za powrotem nie zapomniała o zawsze ci życzliwej

Jaskółce.

